

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy“ Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.

Administracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II.

WARSZAWA, DNIA 14 CZERWCA 1924.

Nr 40.

Pełnomocnictwa czy rekonstrukcja?

Odrzucamy, wbrew etykiecie, protekcyjne pochwały dla cnót osobistych i niedojrzałych jeszcze do oceny zasług p. Władysława Grabskiego, i przystępujemy *ad rem*.

Pierwsze, co trzeba na marginesie ostatniego jego *expose* napisać wielkimi literami, jest stwierdzenie niskiego jego poziomu. Bardzo to przykre, ale tak jest. Oczekiwaliśmy deklaracji męża stanu zdającego przed parlamentem sprawę z półrocznego bilansu prac rządu i przedstawiającego dalszy, pełny ich program, usprawiedliwiający żądanie pełnomocnictw — a usłyszeliśmy sumienny referat ministra skarbu, zakończony paroma retorycznymi zwrotami bez głębszej treści. Ta właśnie końcowa część przemówienia premiera, mająca umotywić rację pełnomocnictw, streszcza się w tem, iż ponieważ rządowi wygodniej jest zaoszczędzić sobie kłopotu współpracy z sejmem, przeto Wysoki Sejm uchwalić raczy: rząd otrzymuje prawa dyktatorskie.

Specjalne pełnomocnictwa parlamentu dla rządu, o ile, z jednej strony, w pewnych wypadkach dają dobre owoce, o tyle, z drugiej strony, stawiają instytucję parlamentu w bardzo drażliwej sytuacji, odbierając jej rację istnienia. Oczywiście nic łatwiejszego, jak rządzić bez ciężarów wynikających z ustroju parlamentarnego. Lecz nie na tem polega dowcip, żeby było łatwo, a tylko na wciągnięciu parlamentu w orbitę aktualnych zagadnień państwowych i osiąganiu sukcesów przy

jego współpracy i aprobacie. Stąd też każdy projekt pełnomocnictw stawia parlamentowi do rozstrzygnięcia pytanie: jaki ma być ich charakter, ale przede wszystkim: komu mają być udzielone? Błędem bowiem byłoby mniemanie, iż Sejm udzielając pełnomocnictw uwalnia się od odpowiedzialności za prace ustawodawcze przelane na rząd.

Prasa codzienna, wyrażając różnego rodzaju wątpliwości, dochodzi przeważnie do wniosku, że p. Władysław Grabski zasłużył na pełnomocnictwa. Moglibyśmy się nawet zgodzić z tą tezą, z małym dodatkiem... „w dziedzinie ściśle skarbowej“. Takie jednak postawienie sprawy niczego nie wyjaśnia, gdyż pełnomocnictwa mają być udzielone rządowi, a nie ministrowi skarbu i bynajmniej nie ograniczają się do jego dziedziny pracy, a obejmują również cały szereg pierwszorzędnej doniosłości kwestji politycznych.

Na pytanie główne, komu mają być udzielone pełnomocnictwa? a więc jakim jest rząd p. Władysława Grabskiego? — trzeba odpowiedzieć, że rządu takiego wogóle niema. Gabinet składa się z dwóch ministrów: skarbu i wojska, oraz paru panów dla dekoracji. Sprawy wewnętrzne, zagraniczne, oświata, sprawiedliwość, ogólny kierunek polityki państwowej, od pół roku puszczane na zmienne prądy przypadku, poszły tak tak dalece w zapomnienie, że w *exposé* premiera nie znalazło się dla nich nawet słowo wzmianki.

Historja nie zna genjusza, któryby skupił w jednej osobie wszystkie talenty i całą wiedzę w dziedzinie sztuki kierowania skomplikowanem życiem nowoczesnego państwa i oczywiście nikt nie może i nie zechce wymagać tego od p. Władysława Grabskiego. Nikt też nie wskaże przykładu, by dla przeprowadzenia kuracji płuc tamowano funkcjonowanie innych ważnych części organizmu.

Mieliśmy tedy prawo oczekiwać, że w przeciągu półrocza premier dokona „usprawnienia“ gabinetu, pozyskując dlań, na stanowiskach ministrów politycznych, współpracę wybitnych fachowców i złożyłwszy ster polityki państwowej w przygotowane do tego zadania ręce, sam poświęci się swej specjalności. Nie może być chyba mowy o tem, by dzieło naprawy finansów miało stracić szanse powodzenia, gdyby było dokonywane równocześnie z kształtowaniem się racji stanu w polityce wewnętrznej i zewnętrznej, i gdyby ministrowi skarbu odjęty był ciężar dodatkowej pracy prezydjalnej, która oczywiście przy takim macoszem traktowaniu nie może dać zadawalniających rezultatów.

Nie możemy uwierzyć, żeby p. Wł. Grabski miał niedoceniać trudności sytuacji, jakie sobie sam stworzył.

Fakt, że wszystkie niemal stronnictwa nie odmawiają wyraźnie zaufania jego rządowi z obawy skomplikowania sytuacji finansowej, nie oznacza jeszcze uznania dla bezrobocia

w innych dziedzinach zadań rządu. I właśnie p. Wł. Grabski może się wkrótce doczekać takich, swego zbytek zaawansowanego optymizmu, owoców, które zmuszą parlament i p. Prezydenta do powoływania nadzwyczajnego gabinetu ratunku wewnętrznego, lub, co prawdopodobniejsze, zewnętrznego położenia państwa.

Można mieć różne miary oceniania pesymizmu i optymizmu co do skutków obecnego stanu kierownictwa spraw państwa. Wszelki jednak optymizm budowany na beczynności trzeba uznać za nieuzasadnioną wiarę w opatrność Boską, dobrodziejstwa której są już bodaj wyczerpane przez Polskę z grubą nadwyżką najhojniejszej miary.

W tych warunkach dyskusja nad treścią pełnomocnictw zgłoszonych przez rząd do laski marszałkowskiej, mimo iż zawierają one wiele punktów domagających się gwałtownego sprzeciwu, staje się bezprzedmiotowa.

Rozmowa na ten temat powinna się zacząć od wymiany zdań na temat gruntownej rekonstrukcji gabinetu.

W. Stępczyński.

Polityka zagraniczna p. Herriot'a.

Przyszły premier francuski p. Herriot określił najbliższe cele i zadania francuskiej polityki zagranicznej w liście swym z dnia 2 czerwca do p. Leona Bluma, sekretarza generalnego francuskiej partii socjalistycznej. Czytamy tam między innymi:

„Pokój, dla którego pracować będziemy z zapalem, będzie skutecznym dopiero wtedy, gdy Francja, wierna swej misji demokratycznej i zobowiązaniom przyjętym czasu wojny, wzmocni i rozszerzy rolę ligi Narodów i instytucji międzynarodowych, jak Trybunału Haskiego i Międzynarodowego Biura Pracy.

Liga Narodów dopiero wtedy będzie mogła odegrać taką rolę, jakiej oczekujemy od jej wysiłków i uratować nas od okropności wojen, gdy w skład jej wejdą wszystkie ludy zdecydowane do uszanowania jej statutu.

Chcemy nawiązać stosunki normalne z Rosją.

Bez jakichkolwiek ukrytych myśli przyjmujemy raport rzeczoznawców.

Nasza partja zwalczała politykę odosobnienia i siły, która doprowadziła do okupacji i do wzięcia zastawów terytorjalnych. Jednakże, wobec obecnego stanu Niemiec, wobec konieczności zabezpieczenia nie tylko Francji, ale wszystkich ludów przeciw zaczepnemu powrotowi nacjonalistycznego pangermanizmu, partja nasza nie uważa ewakuacji Ruhry za możliwą przedtem, nim zastawy przewidziane przez rzeczoznawców

nie zostaną ustalone i oddane organizacjom międzynarodowym, mającym odąd kwalifikacje do administrowania nimi.

Przypuszczamy też, że w interesie pokoju należy zagwarantować kontrolę nad rozbrojeniem Niemiec wspólnym wysiłkiem sprzymierzonych i, w czasie możliwie najbliższym, przez działalność Ligi Narodów.

Będziemy mieli do rozwiązania zagadnienia bezpieczeństwa drogą paktów gwarancyjnych, zawieranych pod egidą Ligi Narodów“.

Kryzys polityki Bałtyckiej.

Nieudolność i krótkowidztwo naszej polityki zagranicznej od chwili, gdy znajduje się ona w ręku prawicy, nigdzie może bardziej się nie uwydatnia, jak w dziedzinie polityki Bałtyckiej, przez Polskę w 1919 roku, po skonsolidowaniu się młodych republik Bałtyckich, zainaugurowanej. Pomyślny rozwój tej polityki, mającej na celu zapewnienie nam przyjaźni i sojuszu północnych republik, wspólnością interesów politycznych wobec zachłanności rosyjskiej z nami związanych, hamowany był niejednokrotnie przez brutalną taktykę naszych kół prawicowych, napadających w prasie na jej podstawy, w sposób zdradzający śmieszne nadzieje oponentów czynnej przyjaźni z państwami Bałtyckimi na możliwość szybkiego sojuszu z Rosją, zgodnie z tradycjami polityki Narodowej Demokracji. Państwa te, po zetknięciu się na gruncie międzynarodowych zjazdów ich przedstawicieli z takimi dyplomatami jak Paderewski i Skirmunt, rozumiały, że w Polsce nurtują prądy im nieprzychylnie i jedynie przeświadczenie, że prądy te nie dojdą u nas do głosu i że wpływy naszej demokracji zaczynają się coraz bardziej utrwalać, utrzymywało je w stanie przyjaźni i zaufania do Polski. Dzięki temu można było dojść do tak pomyślnych rezultatów, jakie były owocem znanej konferencji warszawskiej 1922 roku i doprowadzić do ratyfikacji uchwał tej konferencji przynajmniej przez Łotwę i Estonję. Litwa została wyeliminowana i przestała być żywym czynnikiem polityki Bałtyckiej.

Wszakże objęcie rządu przez endecję wywołało gwałtowne ochłodzenie tych stosunków. Już noszalanckie zbojkotowanie przez Seydę lipcowej zeszłorocznej konferencji w Rydze odbiło się głośnym echem we wszystkich krajach Bałtyckich i wywołało przekonanie, że Polska, wpatrzona pobożnie w rusofilską Czechosłowację, przestaje się sprawami Bałtyckimi interesować. Od zupełnego zniechęcenia do Polski broniła Łotwę i Estonję jedynie wiara w to, że najbliższa warszawska konferencja, zapowiedziana na grudzień 1923 roku, przyniesie odpowiedź na pytania doniosłej wagi, które na lipcowej konferencji daremnie czekały wyjaśnienia.

Stało się inaczej. Konferencja grudniowa została odrzucona przez Seydę, a później odraczano ją jeszcze kilkakrotnie, gdyż pan Zamoyski raczył się długo namyślać najpierw nad tem, czy uszczęśliwić Polskę swemi rządami, a następnie, czy wogóle trzeba się bardzo spieszyć z przyjazdem. Gdy wreszcie konferencja doszła do skutku, okazało się, że nic naszym gościom nie mieliśmy do powiedzenia. Rezultat jej był niesłychanie nikły, i zaambarasowani dyplomaci musieli, w braku pozytywnej odpowiedzi, wyjaśniać interpelującym ich o wyniki dziennikarzom, że sam fakt spotykania się od czasu do czasu na zjazdach wytwarza przychylną atmosferę dla zbliżenia państw Bałtyckich i Polski, na co słusznie w prasie zauważono, że częsta wymiana not również wywołać może te same skutki.

Jedyną może pozytywną uchwałą była rezolucja zapowiadająca zwołanie w czasie najbliższym prasowego zjazdu w Warszawie i druga, jej pokrewna, wzywająca do wszczęcia akcji, mającej na celu zbliżenie na polu kulturalnem wszystkich czterech państw.

Dla realizowania obu uchwał nic dotychczas nie zrobiono. Konferencja warszawska nie dała zatem żadnego praktycznego rezultatu. Naturalną konsekwencją takiego stanu rzeczy było zbliżenie się Łotwy i Estonji do Litwy, czego wyrazem była konferencja kowieńska.

Bagatelizowanie znaczenia tej konferencji przez centralne organy ministerstwa spraw zagranicznych i przez zainteresowanych dyplomatów, usiłujących wytworzyć optymiczne nastroje, nie na wiele się przyda. Już sam fakt, że konferencja Bałtycka może obejść się bez Polski, głównej inicjatorce Związku Bałtyckiego, że Litwa, Łotwa i Estonja znajdują na niej wspólne drogi porozumienia i że opinja publiczna wspomnianych trzech państw odnosi się z sympatją do konferencji, zwołanej w „tymczasowej”, jak się wyraził Galwanauskas, stolicy Litwy, świadczy, że zagraża nam pogrzebanie owoców kilkoletniej pracy, prowadzonej w imię naszych najżywotniejszych interesów nad Bałtykiem.

Mniejsza o to w tej chwili, czy zdementwoane przez poselstwo łotewskie oświadczenie łotewskiego ministra spraw zagranicznych Sehji o „niezałatwionej” sprawie wileńskiej, która przeszkadza rozwojowi dobrych stosunków z Polską, było istotnie zgłoszone, czy też nie. Ważniejszym jest to, co minister Sehja w pierwszym dniu konferencji istotnie powiedział korespondentowi kowieńskiej gazety *Echo*.

Powiedział zaś co następuje:

„Trzy republiki bratnie dawno już nie miały możliwości ustalenia wspólnego punktu widzenia na sprawę tak zwanej wielkiej międzynarodowej polityki. Wypadki w Europie rozwijają się w coraz szybszem tempie. Wobec tego małe pań-

stwa w szczególności nie mogą pozwolić sobie na zbytek prowadzenia biernej polityki, któraby doprowadziła do tego, że inne większe państwa wciągnęłyby je w orbitę swej polityki”.

Następnie po stwierdzeniu tożsamości ekonomicznego położenia wszystkich trzech państw, zostało zadane łotewskiemu ministrowi pytanie, w jakie formy przyoblec się może koordynacja zewnętrznej polityki trzech państw Bałtyckich? Na to Sehja odpowiedział że żadne z trzech państw oddzielnie nie może z powodu małych rozmiarów grać poważniejszej roli, a więc łatwo stać się one mogą objektem obcej polityki. Jeżeli zaś połączą się one w jedną przyjazną całość, to głosu ich słuchać będą wszędzie zupełnie inaczej, niż dotychczas.

Taki więc jest program łotewskiego ministra spraw zagranicznych: stworzenie z trzech „bratnich” państw jednej przyjaznej całości, zupełna koordynacja zagranicznej polityki z Litwą, oraz występowanie solidarne na zewnątrz, aby wspólny głos wszędzie został wysłuchany, a więc zapewne i na posiedzeniach Ligi Narodów, w brew dotychczasowej taktyce solidarnego występowania na plenarnych zebraniach Ligi wspólnie z Polską.

Dalekośmy bardzo odbiegli od tych czasów, gdyśmy zbliżenie trzech państw, z których jedno oświadcza, że znajduje się w stanie wojny z Polską i wspólnych z nami granic nie uważa za ustalone, rozumieli jako krok niezmiernie szkodliwy i temu pogładowi dawaliśmy niedwuznaczny wyraz.

Dzisiaj prawica z całą lekkomyślnością, poza którą niezawodnie ukrywa się radosne dla niej przeświadczenie, że trzy państwa Bałtyckie stać się mogą prędzej czy później objektem polityki wschodniego sąsiada i że wobec tego prowadzeniem aktywnej polityki Bałtyckiej nie powinniśmy psuć sobie przyszłych dobrych z monarchiczną Rosją stosunków — lekceważy to, co się dzieje w Kownie. Groźba wyeliminowania nas z polityki Bałtyckiej bynajmniej jej nie obchodzi.

Doszliśmy już nawet do tego, że uważamy, iż lepiej aby Polska została izolowana, niż Litwa. Te złote myśli, które trudno byłoby jedynie wytłomaczyć sobie chęcią przeciwstawienia się *coute-que-coute* stanowisku politycznemu polskiej lewicy, wypowiedział na posiedzeniu komisji zagranicznej sejmowej pan Stroński, były szef biura prasowego M. S. Zagr., człowiek niewątpliwie z zagadnieniem polityki zagranicznej obeznany i odpowiedzialny za to co mówi. Dowodził on, że do odosobnienia Litwy bynajmniej dążyć nie powinniśmy, gdyż dowodziłoby to, że nie mamy dążeń pacyfistycznych.

Pozwolić z założeniami rękami na to, że przeciw nam formować się będą wrogie lub niechętne koalicje, odrzucać możliwość sojuszów, w przeświadczeniu, że wystarczy nam sojusz z... Czechosłowacją (która prowadzi obecnie aktywną

politykę antypolską w Kownie, Rewlu i Rydze) — oto są programowe wskazania polskiego kierunku nacjonalistycznego.

Polityka taka ciężko się zemścić na Polsce może, jeżeli się szybko i bez zwłoki nie zabierzemy do wypędzenia szkodników i do skierowania polityki Bałtyckiej na dawne tory, na których było by zupełnie możliwe porozumienie się demokracji polskiej z demokracjami Łotwy i Estonji, stwarzające we Wschodniej Europie system równowagi sił, rękojmię pokoju i powszechnego bezpieczeństwa.

Z. Tetera.

Kler katolicki ponad prawem.

Wiadome jest, że kler katolicki stanowi u nas państwo w państwie, swoim własnym prawem się rządzące. Ale nie jest może również powszechnie wiadome, że tam, gdzie prawo własne kleru staje w konflikcie z prawem polskim, to i wtedy prawo państwowemu ulec musi. Jaskrawym przykładem tego jest kwestja rozwiązywania małżeństw, zarówno w Wielkopolsce, jak i w Małopolsce, dotąd prawem arcykatolickiej monarchji Habsburgów rządzonej, podległa kompetencji sądownictwa cywilnego, a jedynie w Kongresówce sądom duchownym powierzona.

Otóż zgodnie z prawem małżeńskim, obowiązującym w Kongresówce, w wypadku małżeństwa między katolikami i ewangelikami ślub daje duchowny wyznania narzeczonej i o ważności małżeństwa decyduje sąd konsystorski tego wyznania, którego kapłan dawał ślub. Prawo to przez cały czas okupacji rosyjskiej było stosowane bez sprzeciwu. Obecnie jednak, w Polsce niepodległej, kler katolicki uznał, że przepisy prawa polskiego go nieobowiązują i konsystorze katolickie, opierając się na prawie kanonicznym, unieważniają małżeństwa zawarte przed pastorem przez katolików i protestantów. Skutki tego bezprawia są nieobliczalne. A więc małżonek, którego małżeństwo w powyższy sposób unieważnione zostało, winien właściwie w razie powtórnego zawarcia związków małżeńskich być skazany przez sąd państwowy za bigamię; w razie sporów spadkowych między dziećmi z pierwszego i z drugiego małżeństwa, te ostatnie niewątpliwie przez sądy będą musiały być uznane za dzieci nieprawego łoża, pochodzące z cudzołóstwa ze wszystkimi ograniczeniami praw, jakie ten stan za sobą pociąga, gdyż sądy państwowe oczywiście jedynie prawo polskie stosować będą mogły.

Byłby środek na ukrócenie tej samowoli kleru — oddanie pod sąd karny sędziów konsystorskich za nadużycie władzy. Ale który prokurator, który minister sprawiedliwości na taką od wagę się zdobędzie. To też kurja arcybiskupia doskonale sobie

z tego zdaje, sprawę, o czem świadczy rozmowa, jaka miała miejsce niedawno. Ministerstwo sprawiedliwości, słusznie zaniepokojone mnożącymi się wypadkami tych nieprawnych unieważnień małżeństw, wydelegowało wysokiego urzędnika w celu porozumienia się z kurją. Na zapytanie czem się kieruje sąd konsystorski unieważniając małżeństwa, ksiądz wydelegowany do pertraktacji wskazał na *Corpus juris canonici* leżący na stole. Na uwagę zaś że przecież w Polsce obowiązuje prawo o małżeństwie z 1836 r. nastąpiła natychmiast odpowiedź: „Wobec takiego stanowiska Ministerstwa nie mamy o czem mówić. Możecie panowie nas zesłać na Sybir, jak to czynili Rosjanie”. I na tem rozmowa, a i usiłowania Ministerstwa Sprawiedliwości uregulowania sprawy się skończyły i sąd konsystorski nadal z zupełną świadomością łamie prawo i wyrządza ciężką krzywdę łatwowiernym ludziom, którzy rozwiązane przezeń małżeństwa zawarte przed duchownym innego wyznania, uważają za rozwiązane legalnie.

Prawnik.

P. Painlevé mówi, p. Korab - Kucharski kłamie.

P. Henryk Korab-Kucharski przysłał *Rzeczypospolitej* areoplanem list z Paryża o „bladym tryumfie” lewicy przy wyborze prezydenta Izby Deputowanych.

Nie będziemy dyskutować z autorem, czy to był tryumf „blady” czy różowy... to przeważnie zależy od humoru korespondenta i od zjedzonego przedtem śniadania, a nawet jeszcze więcej od ilości i jakości wypitego wina.

Ale znakomitemu współpracownikowi p. Sauerweina nie wolno zapominać, że Polska to nie Bolszewja, że my tu otrzymujemy francuskie pisma, drogą coprawda zwykłą, ale pewną. I na podstawie tych pism doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, co się w Paryżu dzieje i nawet z tego co się w Pałacu Burbońskim mówi. I dla tego pytamy: po co Pan kłamie?

Wszak Pan miał kiedyś ambicje literackie, więc napewno wiadomo Panu, że fałszowanie tekstów należy do przestępstw bardzo, a bardzo brzydkich, tembardziej gdy się oszukuje w ten sposób czytelników. Zostaw Pan tę robotę swoim kolegom redakcyjnym, oni pańskiej nieudolnej pomocy — w tej materji — nie potrzebują. Sami to robią doskonale.

Gdy p. Korab-Kucharski mówi, że „sala pałacu Burbońskiego jest ponura, tryumf blady, gwar monotony, frazesy mętne, blade, matowe” — to wiemy że autor był w „bladym” i ponurem usposobieniu.

Gdy natomiast p. Korab-Kucharski wkłada w usta p. Painlevému zdanie następujące: „Zostałem wysłany przez partję, służyć będę interesom partji“... to wtedy kłamie, kłamie świadomie, gdyż p. Painlevé dosłownie powiedział co następuje: „Wybrańca partji podnieśliście na to wysokie stanowisko, wybrańca, który w latach ostatnich był najbardziej zaangażowany w walkach politycznych. Ale jeśli jest mi przeznaczony później wrócić do szeregów, to dziś jestem już i muszę być tylko bezstronnym arbitrem waszych dyskusyj“...

Dalej według p. Korab-Kucharskiego „zaczęły mętnie, matowo, blade płynąć przestarzałe niestety, nierealne niestety, obłudne niestety tylko frazesy o pojednaniu się ludów, o braterstwie, o pokoju“.

W rzeczywistości mówił p. Painlevé, że Francja musi być wierna tym hasłom, które głosiła podczas wojny, a w imię których wolne narody przyszły jej z pomocą. Następnie mówił o zaufaniu do przyszłości Ligi Narodów, o odszkodowaniach: „niema sprawiedliwości, bez odszkodowania niesprawiedliwości“ i wreszcie o amnestji.

A zakończył temi słowy: „Wielki mówca Jaurès, którego już nigdy z tej trybuny słyszeć nie będziemy, powiedział kiedyś: „Bez Republiki lud jest bezsilny; bez ludu, Republika jest pusta“. Połączmy nasze wysiłki, aby w ciągu przyszłych czterech lat lud nie był skazany na niemoc, a Republika na bezpłodność“.

Ani to mętne, ani matowe, ani blade...

(Z)

Echa sprawy Bagińskiego go i Wieczorkiewicza.

Trzeba zamknąć bilans tej głośnej sprawy. Dziś, gdy wyrok sądu, surowy wyrok sumienia wojskowego trybunału i łaska Prezydenta, szlachetny, choć niewspółczesny, przywilej Głowy Państwa, przesądziły los przestępców, gdy więc nic nie przeszkadza zdekonspirowaniu kulis tego procesu — trzeba powiedzieć i o intymnej, wstrętnej jego reżyserji. Trzeba obnażyć tło tej sprawy, osoby w niej współdziałające i metody, jakimi się w swej gorszącej grze posługiwały — będą one bowiem jeszcze niejednokrotnie powrotną falą pojawiać się na arenie sądu i życia politycznego. Posiew zła niemało jeszcze zrodzi chwastów...

Tem złem był niecnny wysiłek zwrócenia ostrza sprawy Bagińskiego i Wieczorkiewicza przeciwko Marszałkowi Piłsudskiemu, generałowi Sikorskiemu, Legjonistom, P. O. W. i Strzelcowi. Wolano, za upragnioną cenę kompromitowania tych

osób i organizacji, wycisnąć czarną plamę na honorze własnego Narodu i Państwa, darować winowajcom zbrodnię współdziałania z jednym z państw ościennych, nie wyzyskać ani procesowo, ani politycznie tego współdziałania, nie odkryć i napiętnować autorstwa potwornej zbrodni przygotowywania zamachu na całość Rzeczypospolitej. Przed zbrodniczym zamysłem pohańbienia imienia polskiego nie powstrzymał fakt, że niemal wszyscy oskarżyciele w tej sprawie to właśnie Legjoniści, że nie kto inni, jak oni zdemaskowali winowajców i nie kto inni, jak oni byli tego procesu autorami.

Już w procesie o inwigilację Marszałka Piłsudskiego poczęły się ujawniać drastyczne fragmenty reżyserji sprawy Bagińskiego i Wiczorkiewicza. Dowiedzieliśmy się z zeznań por. Urbańca, jak to prokurator płk. Janczewski „współpracował” z agentem Płakidą, i z innych ust usłyszeliśmy, jak tenże płk. Janczewski arbitralnie i z góry odrzucał materiał dowodowy zebrany przez Policję, a świadczący niezbitnie o współdziałaniu w przestępstwie agentów obcego państwa, — przeciwstawiając mu swoją, z fantazji wysnutą, tezę o autorstwie zbrodni „wysoko postawionej osobistości krajowej” i całej lewicy polskiej *).

Grubemi nićmi szyta zbrodnicza intryga pękała co chwila, obnażając drastyczne fragmenty „roboty”. Nie zdołano ukryć głównych jej sprężyn, są one dzisiaj wszystkim zainteresowanym znane. Wiemy jak inspirowali: Swolkień.—Kiernika, a Pik z Janczewskim za pośrednictwem Szpakowskiego — Szeptyckiego; jak mazali ślady źródeł zbrodni, wiodące poza granice Rzeczypospolitej i jak chciano je skierować do Sulejówka; jak przyrzekano naiwnym ministrom endecko-piastowym „położyć” Piłsudskiego. Wiemy ile nadziei z sukcesem na tym polu wiązał ówczesny rząd, z jaką skwapliwością, wbrew prawu i kompetencji, Rada ministrów uchwaliła jawność rozpraw sądu, by nie przepadł ani jeden pocisk z przygotowanych przez baterję agentów policyjnych z prowokatorskimi aspiracjami, pod wodzą Janczewskiego. Wiemy, jak tenże Janczewski w ścisłym z Pikiem porozumieniu zwalczał w dochodzeniach i na rozprawie wszystko to, co potwierdzało współdziałanie oskarżonych z agentami zagranicznymi. Pamiętamy z jaką namiętnością zwalczał, jasną dla każdego, sprawę szyfru używanego przez oskarżonych w więzieniu; jak osłabiał zeznania świadków w tej sprawie; jak usiłował doszukać się legendy o „lewo-belwederskich” projektach „Dziadka”; jak dla „wygrania” tego atutu domagał się jawności rozpraw, chociażby kosztem zdekonspirowania akcji wywiadowczej Policji i wbrew domaganiom się, niewtajemniczonych z zakulisy gry, jej przedstawicieli; jak wreszcie w przy-

*) „Głos Prawdy” № 30 z dn. 5.4.24 r. art. p. t. „P. prokurator płk. Janczewski”.

stępie zdenerwowania wołał z potosem, że wykluczonem jest aby Bagiński działał w porozumieniu z obcym państwem, bo gdyby tak było, musiałby mieć brylanty, złoto i automobile, a przecież tego wszystkiego nie posiadał.

Już jesienią 1923 r. łączy płk. Janczewskiego bliska przyjaźń z agentem Plakidą, obecnie wydalonym ze służby, i majorem Pieczoną. Cechnowski zeznaje w śledstwie o agentach państwa ościennego, więc go raczej zaaresztować, niż dopuścić do takiego obrotu sprawy. Nadkomisarz Piątkiewicz, Sawczyn i Kawecki—to także, z powodu odmiennych na sprawę zapatrywań, ludzie niewygodni. Zwłaszcza Piątkiewicz, który dostarcza druzgocących dowodów świadczących o usługach oskarżonych na rzecz obcego państwa.

W drugiej rozprawie dowiadujemy się z wniosku obrońcy adw. Przeworskiego, że za wszelką cenę, przy użyciu wpływów wysokich osobistości, postanowiono przeszkodzić zarządzonemu przez sąd śledztwu, bo przecież mogłoby ono wykazać „robotę“ inspiratorów, udowodnić ponadto porozumiewanie się Bagińskiego i Wieczorkiewicza z zagranicznymi agentami, co więcej, potwierdzić że oskarżeni brali od nich pieniądze.

W konsekwencji Prokuratura pisze akt oskarżenia nie o zdradę główną, jak należało, lecz o .. podrzucanie bomb. W konsekwencji również — a dopiero pod gwałtowną presją opinii, raportu jednego z członków trybunału sądzącego i skarg lekarza więziennego — oskarża się komendanta więzienia ppłk. Bielakowskiego o niewinne przekroczenie regulaminu więziennego, podczas gdy należało przedewszystkiem dociec, dlaczego łamał on regulamin więzienny właśnie dla Bagińskiego i Wieczorkiewicza, i dla nikogo więcej. Trzeba było stwierdzić, jakie i jakiego rodzaju środki zdołały zmiękczyć serce ppłk. Bielakowskiego dla tych dwóch więźniów i to tak dalece, że nie zawahał się zaryzykować dla nich własnej skóry.

Całą wspaniałe cyniczną koncepcję zabicia, kulą wymierzoną w oskarżonych, najgroźniejszych przeciwników rządu Chjeno-Piasta, pogrzebała sztuczność jej podstaw. Śmierć jej przypieczętowało orzeczenie sądu dwukrotnie ustalające, jako fakt udowodniony, że Bagiński i Wieczorkiewicz są zdrajcami kraju, działającymi na korzyść państwa ościennego i za jego pieniądze.

Wszelako echa i fragmenty tej „roboty“ będą powracały. Poczekajmy jeszcze końca procesu por. Błońskiego o inwigilację Marszałka; poczekajmy jak z biegiem czasu ujawni się w pełnym świetle rola p.p. Pika, Janczewskiego, Szeptyckiego, Swolkieni, Kiernika i Plakidy.

Wtedy właśnie zamkniemy porachunki z temi panami i ktoś będzie musiał paść w walce.

W. Stpiczyński

Liberum veto.

Bezimienny korespondent w liście do nas oblicza, że od roku 1880 przybyło nam 3 dzienniki i 16 pism peryodycznych, razem 19 wydawnictw, które przelały pełną już miarkę i spowodowały zmniejszenie się prenumeraty każdego z dawniejszych. Niewątpliwie, zależność między tymi dwoma faktami istnieje i bez daru proroczego można przewidzieć czas wielkiej między naszymi pismami śmiertelności. Oparte na rzeczywistych potrzebach utrzymają się przy życiu, zbyt liczne wymrą tak szybko, jak powstały. Ale nadmierny rozrost prasy nie tłumaczy nam zmniejszenia się prenumeraty wogóle, zwłaszcza że każdy nowy organ wytwarza pewne koło nowych czytelników. Tu stanowczo jeden ciężarek rzuciła na szalę bieda, drugi — obojętność, a trzeci... O trzecim chcę dziś słów kilka powiedzieć. Niektóre z pism naszych ukarane zostały spadkiem abonamentu poniekąd sprawiedliwie. Nie wszyscy ludzie są z tej samej piersi, natura więc ich musi być odmienną. *Pojmuje, że można być konserwatystą, klerykałem, wstecznikiem i t. d., ale nie pojmuje, jak można być w służbie publicznej łgarzem z zasady* *). Jeżeli zakładam pismo postępowe, wolno mi szerzyć idee tego kierunku, wolno mi cenić wszelkie jego objawy, ale nie wolno ani milczeć, ani kłamać przed czytelnikami o tem, co się dzieje po przeciwej stronie. Ks. Kalinka lub prof. Smolka, p. W. Szymanowski lub K. Zalewski nie są naszymi współwyznawcami; mimo to zdajemy sprawę z każdej ważniejszej ich pracy. *Tymczasem pisma konserwatywne, oprawiając w złoto najlichszy wiór własnego podwórza, przemilczają zupełnie nawet o klejnotach piór postępowych. I gdyby tylko przemilczeli. Zdarza się bowiem nieraz, że w ogólnych wywodach, w obliczaniu, wprost przekreślają niemile pozycje i tym sposobem przedstawiają czytelnikom fałszywe rachunki.* Świeżo wyszła *Kuźnica Kołłątajowska* W. Smoleńskiego, nic to nie będzie przeszkadzało jakiemuś „uczciwemu” i „porządnemu” publicyście napisać za kilka miesięcy: „nasz znany badacz dziejów p. Pstrąg zamierza w osobnej monografji nakreślić *Kuźnicę Kołłątajowską*, która dotąd nie doczekała się swego historyka”.

Taka „rzetelność” panuje w innych dziedzinach życia. *Zawsze autor postępowy jest schowany, a czytelnik konserwatywny oszukany. To fałszowanie życia w pismach peryodycznych, które powinny być wiernem jego odbiciem, odbywa się na niską skalę.* Jeżeli w zakątku prowincjonalnym siedzi szlachcic, odcięty od świata i oglądający go jedynie z „poważnej” gazety, widzi za ledwie drobny jego skrawek, jednostajny, szary i ubogi. Po mału okpiwany i w niewiadomości trzymany biedak ulega

*) Wszystkich podkreśleń w niniejszym artykule dokonała Redakcja.

temu losowi, co ów bohater Suego, któremu ściany pokoju jezuici zapisali zdaniem z Biblii, obrzydzącymi doczesność. Dla społeczeństwa jest to szkoda, że masa jego członków nie zna całości życia, a dla kłamców ten skutek, że ich czytelnicy, dostrzegłszy nierzetelność, albo znudzeni ciasnotą widnokregu—porzucają gazetę.

Przechwałkami wypchano u nas olbrzymiego konia, którego dosiadają rycerze konserwatyzmu, ile razy wyruszają na czele „ogółu”. Owó ogół ma być zachowawczym, o literatach słyszeć nie chce, lubi tylko stare kuchnie i stare studnie, bo w nowych wykrył truciznę. Tymczasem nawet najpoważniejsi czytelnicy gazet wkrótce przekonywują się, że na samych zdrowych pokarmach umysłowych chudną, że im malarzę zachowawczą bardzo skutecznie usuwa „arszennik”. Właśnie „Gazeta Warszawska”, opukawszy i osłuchawszy swoich abonentów, postanowiła im zalecić ten trujący środek w małych dawkach. Aszeniem będzie E. Orzeszkowa, której powieść ma być w tem piśmie drukowana. Wydawca francuski lub angielski zrobiłby to dawno i uważał za rzecz zwykłą; nasz ustępuje dopiero z konieczności. Wyobrażam sobie, ile cierpień doznała, ile walk przeszła redakcja „Gazety Warszawskiej”, zanim zdecydowała się na ten krok rozpaczliwy—ona, która była najbardziej przekonana, że cały nasz ruch postępowy — to szereg wybryków niedowarzonej młodzieży, że nawet Sienkiewicz, święty Sienkiewicz, ma przed sobą przyszłość pewną, Głowacki niewątpliwą, a inni, niepamiętający obrad nad bilem zbożowym w Anglii, nie warci są nawet miejsca w pismach bibliograficznych. I Orzeszkowa między tymi bazgraczami była tylko najplodniejszą, chociaż jako kobieta, przebywająca w obozie bandy wolnomyślniej, najnieprzyzwoitszą. Stara ciasna chata, której ściany ozdobione obrazami świętych, litografowanymi wizerunkami głośnych mężów stanu i fotografiami powiatowych znakomitości, otwiera swe drzwi na przyjęcie niewiasty z frygijską czapeczką na głowie, której imieniem straszono tam niesforne dzieci!

(„Prawda” № 42 z 1885 r.)

Aleksander Świętochowski.

W prowincjonalnej głuszy.

Kraje o kulturze nie dość mocno ugruntowanej podobne są bagniskom, na których tu i owdzie kaprys losu rzuca wyniosłe pagórki, uwieńczone mniej lub więcej bujnym kwieciami. Czyż może być plastyczniejszy pod tym względem przykład nad Rosję, tę dawną, gdzie obok błyskotliwych intelektów i wyszukanej kultury jednostek, olbrzymie miliony narodu tonęły w ciemności i jęczały pod jarzmem korupcji administracji, stały na stopniu kultury epoki jaskiniowej. To był przykład najstraszliwszy. Ale są mniej rażące i drastyczne, choć równie wymowne i niebezpieczne, Chociażby Polska. Niestety i Polska. My, ludzie stolicy, niewielkie mamy wyobrażenie o życiu naszej prowincji, tej 2-giej i 3-jej

klasy, np. Słonimia, Gostynina, Lipna, Ostrołęki czy setki innych t. zw. miast. Poprostu mało się tem interesujemy, a prasa prowincjonalna, nieliczna i słaba, nie przekracza rogatek Warszawy. Trzeba sobie uświadomić, że jest to stan wprost fatalny. Typem obywatela polskiego nie jest bynajmniej przeciętny Warszawianin ze śródmieścia i nie on wykreśla na kartach dziejów granice twórczości narodowej, we wszystkich jej dziedzinach. Ten typ przeciętny błąka się gdzieś pomiędzy organistą kościołka gminnego, a obywatelką przekupką ze Starokonstantynowa i on właśnie musi być przedmiotem nieustannej troski „góry” społeczeństwa, a przede wszystkim administracji państwowej: od ministra, aż do posterunkowego policji włącznie.

Trzeba wyznać, że personel urzędniczy jest w większości wypadków jaknajgorzej do tego zadania przygotowany. Poprawa w porównaniu do metod rosyjskich, w b. Kongresówce, jest minimalna, oczywiście nie w sferach kierowniczych i centralach, ale właśnie na prowincji, gdzie urzędnik bezpośrednio styka się z obywatelem i gdzie zakres jego władzy, w praktyce, jest znacznie wyższy, niż w większych środowiskach. Lekceważenie, brutalność, choroba wielkości — oto główne wady, wyrastające na tle błędnie pojętej powinności obywatela okazywania szacunku władzy, z pominięciem pierwszej części tego postulatów: szacunku władzy dla obywatela. Ponadto korupcja i solidarność dygnitarzy prowincjonalnych w dbałości o siebie. Jak to wygląda w praktyce?

Poruszyliśmy niedawno na tem miejscu stosunek w Ostrowiu Łomżyńskim. Pokazaliśmy sylwetkę klasycznego tyka, aptekarza sklepikarza i burmistrza w jednej osobie, niejakiego Mieczkowskiego, z łaski posła Harusewicza kawalera orderu Polonia Restituta za zdzierstwa na współobywatelach czasu niemieckiej okupacji dokonywane i obcalowywanie się z rycerzami pikelhauby. To pierwszy dygnitarz. Drugim jest oczywiście sędzia, reprezentant najsztelniejszego niewątpliwie urzędu, wywierającego olbrzymi wpływ na wychowanie obywatelskie. Jest nim niejaki pan Ogrodzki — ex komornik rosyjski, jednostka zaprawiona w szkole brutalności względem „wiernopoddanych”, i „nicztożnych”, uważająca fotel sędziowski za miejsce, z którego wolno bezkarnie znieważać każdego obywatela, przypadkiem przed jego obliczem stojącego. Brutalne wymysły pod adresem maluczkich i uniżoność względem możniejszych, szczególnie gdy p. sędziemu na nich zależy, są zjawiskiem normalnym. P. sędzia prawdopodobnie oburzy się nawet bardzo gwałtownie, gdy się dowie, że ktoś może się temu dziwić i wskazywać go ministerstwu sprawiedliwości, jako człowieka szkodliwego.

A wreszcie policja. Jeden z wyższych jej przedstawicieli: sekretarz Banaszek. Przed paru laty przybył do Ostrowia ubożuchny, skromniutki... dzisiaj jest już zasobnym człowiekiem, dzierżawcą tartaku komunalnego (!) handluje, pilnuje interesów, ma swoich odbiorców, współników, i konkurentów. Czy te zarobkowe sympatje i antypatje nie wpływają na jego czynności służbowe, czy to, sprzeczne z ustawą, łączenie urzędu policyjnego z prywatnym przedsiębiorstwem w miejscu urzędowania — nie mać czystych źródeł władzy? A jednak ani zasady, ani nóż redukcyjny, który pozbawił środków utrzymania tyle tysięcy rodzin, nie są zdolne przeciąć idylli p. Banaszka.

Nie łudźmy się, że jeden tylko taki Ostrów upiększa mapę Polski. Jest ich wiele i nie widać oznak poprawy. System kontroli stosowany przez organy centralne nie przyczyni się do niej zbyt gwałtownie. Każda wizytacja jest zgóry zapowiedziana, wyreżyserowana — wizytator niczego się nie dowiedziawszy, poza tem że wszystko jest jaknajlepiej i spożywszy co Bóg dał, a daje zwykle w takich razach dość obficie, powraca „zadowolony”. A tymczasem zło trwa i czyni niemale szkody, opóźnia rozwój państwa, niszczy jego siły żywotne.

Czas poważnie pomyśleć o sanacji stosunków na upośledzonej prowincji.

W. S.

Fatalne nieporozumienie.

(Z listów do Redakcji).

P. Mieczysław Zajdler, b. urzędnik państwowy, prosi nas o interwencję w następującej sprawie: Od 1919 do 1921 roku pracował jako urzędnik w jednej z instytucji państwowych, skąd nagle, bez podania motywów, na podstawie dyskrecjonalnego prawa zwierzchności, otrzymał dymisję. Nie poczuwając się do żadnej winy postanowił uzyskać wyjaśnienie motywów swej krzywdy i w tym celu, kołacząc bezskutecznie od instancji do instancji, złożył ogółem w przeciągu trzech lat 119 próśb i zapytań. W jednej z nich władze dopatrzyły się pozorów nieposzanowania i skierowały sprawę do prokuratury, prokuratorja zaś do śledztwa.

Ku zdumieniu interpelanta, znękanego i rozgoryczonego, w istocie niezwykłą, pogardliwością władz, urząd śledczy zajął się nie istotą przestępstwa, a stanem umysłowym obwinionego uważając snąc, że tego rodzaju dowod wytrwałości w dochodzeniu swych praw, musiał doprowadzić p. M. Zajdlera do obłędu. Lekarze eksperci nie mogli zdecydować się na wydanie orzeczenia i nieszcześliwy obywatel został skazany na sześciotygodniową przymusową obserwację w Tworkach.

Cóż za ironja?... Zamiast odpowiedzi na 119 próśb... zostanie do Tworek.

P. Mieczysław Zajdler zgłosił apelację od tej decyzji do Sądu Apelacyjnego. Ponieważ brak mu środków na zwrócenie się o opiekę prawną do adwokata, obawia się o dalszy bieg swej sprawy. Chcielibyśmy zapewnić naszego korespondenta, że fatalne to nieporozumienie wyjaśni się dla niego pomyślnie, ale zależy to już całkowicie od Sądu Apelacyjnego, którego troskliwej uwadze sprawę niniejszą polecamy.

Wydawnictwa nadesłane.

EX — LIBRISY JÓZEFA TOMA z przedmową Edwarda Chwalewika. 27 plansz, str. 72. Skład główny w księgarni F. Hoesicka — Warszawa 1924. Wydawnictwo to, w luksusową oblezoną szatę i odbite w 300 numerowanych egzemplarzach, przeznaczone jest dla zbieraczy i miłośników sztuki graficznej i tym właśnie polecamy je gorącą. Józef Tom należy bowiem do grona wybitniejszych grafików polskich, starszego — nie z wieku, a okresu studjów — pokolenia. Kompozycje jego znamionują indywidualność nieprzeciętną, choć jeszcze z pod wpływów berlińskiej szkoły nie zupełnie wyzwołaną, co oczywiście nie umniejsza ich artystycznej wartości.

Nie mielibyśmy powodu do utyskiwań, gdyby nasi majstrowie grafiki dorównywali mistrzom najbliższego Zachodu. Jeżeli tedy wspomnieliśmy o pewnych pozostałościach berlińskich profesorów w dziełach ucznia, uwaga ta dotyczy wyłącznie stylu, a nie poziomu artystycznego kompozycji Józefa Toma. Artysta zresztą wkracza dopiero w pełni męskości talentu i coraz szybciej określa swoje twórcze „ja”. Zbiór jego ex librisów jest tedy ze wszech miar interesujący i niewątpliwie rozejdzie się w paru nakładach.

ZARYS PAŃSTW BAŁTYCKICH (FINLANDJA, ŁOTWA, ESTONJA) — *Władysław Studnicki* — studjum ekonomiczne. Str. 248. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Ignis” (E. Wende i S-ka) S. A Warszawa.

Omówienie tej ciekawej pracy podamy później. Narazie sygnalizujemy.

NARÓD, WÓDZ I WOJSKO — *Artur Śliwiński* — studjum historjograficzne. Nakładem miesięcznika „Droga”. Skład główny księgarnia „Ogniwo”. Warszawa, Sienkiewicza 12.

NOWE DROGI — czasopismo poświęcone społecznej miłości. Rocznik IV, zeszyt 11. Łódź.

KULTURA SŁOWIAŃSKA — dwutygodnik poświęcony szerzeniu wiadomości o życiu narodów słowiańskich pod redakcją A. B. Dostala, № 1. Warszawa, Królewska 1 tel. 306-94.

NURT — dwutygodnik akademickiej młodzieży demokratycznej, № 9, poświęcony życiu korporacyjnemu. Warszawa.

ZYCIE URZĘDNICZE — biuletyn Zarządu Głównego Stowarzyszenia Urzędników Państwowych. № 1. W treści *St. Sasorski* i *Z. Szczawiński* — przewodnie idee urzędnictwa polskiego; *J. Stypiński* — Uwagi w sprawie wykonania ar. 11 i 116 ustawy o państwowej służbie cywilnej; *Dr. M. Szerer* — Poszanowanie urzędników; *Dr. W. Supiński* — Prawo i „laska administracyjna”; *Wł. Tomkiewicz* — Sprawy urzędnicze w prasie polskiej. Adres redakcji: Warszawa, Nowy-Świat 67, Stowarzyszenie Urzędników Państwowych.

WYSZŁA Z POD PRASY BROSZURA

p. t.

RZĄD CHJENO-PIASTA PRZED SĄDEM

zawierające sprawozdanie z 11-stu procesów redaktora Głosu Prawdy o obrażę rządu Witosa, Seydy, Szeptyckiego, Kiernika, Kucharskiego i Swolkienia.

Do nabycia w księgarniach, wszystkich kioskach, na dworcach kolejowych i u ulicznych sprzedawców pism.

Cena egzemplarza 2 zł.

P.p. abonentom naszego pisma, opłacającym prenumeratę w Administracji, broszura wysłana będzie bezpłatnie po nadesłaniu porta, markami pocztowymi, w wysokości 20 groszy.

TREŚĆ № 40-go: Pełnomocnictwa czy rekonstrukcja? — *W. Stpicyński*. Polityka zagraniczna p. Herriot'a. Kryzys polityki bałtyckiej — *Z. Tetera*. Kler katolicki ponad prawem — *Prawniki*. P. Painlevé mówi, p. Korab-Kucharski kłamie — (*Z*). Echa sprawy Baqińskiego i Wieczorkiewicza — *W. Stpicyński*. Liberum veto — *Aleksander Świętochowski*. W prowincjonalnej głuszy — *w. s.* Fatalne nieporozumienie. Wydawnictwa nadesłane.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **1 złoty**, kwartalnie **3 złote**. Zagranicą kwartalnie **5 złotych**.

Konto czekowe w Pocztovej Kasie Oszczędności Nr. **3288**.

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpicyński**.

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA”, Moniuszki 11.